



# WIDNOKRAĆ

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ  
Z „NOWINAMI  
RZESZOWSKIMI”  
Nr 28 (250)  
Rok VI  
17 VII 1966 r.

Zdzisław Koziol

## SPRAWY CO DZIESIĄTEJ PRACOWNICY

Jeśli nawet pobieżnie przeglądniemy wykaz publikacji poświęconych kobiecie we współczesnym społeczeństwie, to niewątpliwie zwrócimy uwagę, że ich autorami bywają coraz częściej właśnie kobiety. Czyżby nowy etap ruchu emancypacyjnego?

Kiedyś orężem emancypantek była literatura piękna, dziś zaś funkcję tę spełniają nauki społeczne, zwłaszcza socjologia oraz dyscypliny pokrewne. Publikacje te wzbogacają wiedzę o naszym społeczeństwie, a co jest szczególnie ważne — mają poważne znaczenie praktyczne; traktują bowiem o niezauważonych często zjawiskach. Niejedną z tych rozpraw cechuje emocjonalne zaangażowanie, pasja, kobiecy wprost upór...

Dotyczą one wielu zagadnień, a ich lektura nasuwa sporo wniosków; do najważniejszych zaliczyłbym stwierdzenie, że formalne równouprawnienie, zagwarantowane przepisami prawa państwowego czy prawa pracy, jest tylko wstępnym warunkiem faktycznego równouprawnienia. Zresztą nie w każdym wypadku problemy te można traktować w kategoriach tradycyjnie pojmowanego równouprawnienia; sprawy są o wiele bardziej skomplikowane.

Choćby sytuacja jedynych żywicieli rodzin. W sensie prawnym, problem ten w zasadzie jest uregulowany; mają one pierwszeństwo w utrzymaniu pracy, między innymi o nich mówi znany list Centralnej Rady Związków Zawodowych z 1961 roku, który zaleca udzielanie pomocy.

Często jednak słyszymy lub czytamy o konkretnych przypadkach, ogólnie mówiąc, ciężkich warunkach, w jakich znajdują się samotne matki, kobiety opiekujące się rodzicami czy rodzeństwem. Sprawy te traktuje się zwykle na płaszczyźnie moralnej: współczujemy, jesteśmy skłonni bronić... Łatwiej jednak rozwiązywać indywidualne, jednostkowe przypadki niż zjawiska społeczne.

Jaka jest liczebność tej grupy pracujących kobiet? Obliczeń szacunkowych dokonała Krystyna Wrochno, a wyniki tych badań zaprezentowała w referacie wygłoszonym na konferencji naukowej poświęconej problemom pracy kobiet i rodziny współczesnej<sup>\*)</sup>. Okazuje się, że co najmniej 10 proc. kobiet pracujących poza rolnictwem to jedyni żywicieli rodzin; są nimi niezamężne matki, wdowy, rozwódki, kobiety niezamężne, lecz utrzymujące członków rodzin czy wreszcie mężatki, których mężowie z różnych względów nie pracują zawodowo.

A więc co dziesiąta pracująca kobieta samodzielnie utrzymuje rodzinę. W niektórych zakładach odsetek ten jest szczególnie wysoki, sięga niekiedy 30—50 proc. ogółu zatrudnionych kobiet, a np. wśród sortowaczek węgla — ponad 60 proc. Do tychczas przeprowadzano tylko fragmentaryczne analizy warunków pracy jedynych żywicieli rodzin; niezbędna jest więc ostrożność w formułowaniu wniosków.

Autorka wysuwa następującą tezę: „Kobiety samodzielnie utrzymujące rodziny stanowią liczną grupę wśród ogółu kobiet aktywnych zawodowo. Ich sytuacja w pracy jest przeciętnie trudniejsza niż sytuacja pracujących kobiet nie obarczonych rodziną, nawet kobiet zamężnych mających dzieci. Ich zarobki są niższe, możliwości awansu mniejsze, a obowiązki domowe i rodzinne są większe i trudniejsze”.

Jak już wspominałem, nasze ustawodawstwo bierze w obronę jedynych żywicieli rodzin przyznając im m. in. pierwszeństwo w utrzymaniu pracy, ale liczne przykłady skłaniają do twierdzenia, że ta przymusowa sytuacja pozwala na gorsze traktowanie ich pracy. „Wszystkie problemy trudne dla każdej kobiety pracującej i mającej obowiązki rodzinne — stwierdza Krystyna Wrochno — są dla jedynych żywicieli rodzin jeszcze trudniejsze do rozwiązania. Jest to więc szczególnie kategoria pracownic, wymagająca

specjalnej troski ze strony społeczeństwa”.

Z tą ogólną konkluzją zgodzi się niewątpliwie każdy, ale co właściwie można zrobić dla tej kategorii pracowników. Zaczniemy od zasadniczych trudności, które napotykają w swoich zakładach. Zarabiają one przeciętnie mniej niż kobiety mające mężów pracujących. Jest to głównie spowodowane niskimi kwalifikacjami. Jedyna żywicielka rodziny musi pracować; w przeciwnym razie do wielu innych kobiet, podejmuje każdą pracę. Tym należy tłumaczyć ich niższe zarobki.

Sporo światła na sytuację tych kobiet rzucają wyniki ankiet przeprowadzonych przez „Kobietę i Życie”, pismo ukazujące się w blisko półmilionowym nakładzie. W pierwszej ankiecie zatytułowanej „60 pytań do kobiet pracujących” uczestniczyło około 2 tys. pracownic, w tym ponad 10 proc. jedynych żywicieli rodzin, przeważnie samotnych matek dzieci w wieku przedszkolnym i szkolnym. Drugą ankietę skierowano wyłącznie do jedynych żywicieli rodzin; odpowiedziały na nią 203 kobiety, w tym 44 proc. ze średnim i wyższym wykształceniem.

O wykształceniu wspominać nie przypadkowo; w ankiecie uczestniczyły kobiety wykazujące się szerszym horyzontem, aktywniejsze społecznie i życiowo. Stąd wyników ankiet raczej nie należy traktować jako reprezentatywne dla całej grupy. Bez ryzyka popełnienia błędu, możemy uznać, że sytuacja pozostałych kobiet, zwłaszcza robotnic, jest trudniejsza.

Na co skarżą się jedyni żywicieli rodziny? Przede wszystkim na atmosferę w pracy. Twierdzą, że liczne trudności i konflikty spowodowane są częstymi zwolnieniami lekarskimi dla opieki nad chorymi dziećmi. Jeśli w zakładzie takich kobiet jest kilka, to w zasadzie problemu nie ma, ale jeśli stanowią one znaczny odsetek pracownic?

Słyszałem kiedyś opinię jednego z dyrektorów, który przyznał się, że pod różnymi pretekstami stara się takich kobiet nie przyjmować do pracy. — „Z nimi tylko same kłopoty — twierdził — zdarzają się nawet wypadki, że swoją trudną sytuacją rodzinną i materialną szantażują zakład. Ale o tym publicznie mówić nie wypada, bo dziś każdy stroi się w piórka filantropa, każe wnikać w położenie starzejącej się panny w dzieckiem...”

Wypowiedź tę przytaczam prawie dosłownie; pomijam tylko dosadniejsze epitety oraz obszerny wywód o dyscyplinie, planie produkcyjnym, konieczności walki z absencją itp.

I znów konflikt — człowiek i produkcja. Nie każdego przekonywują nakazy moralne, że człowiek jest ważniejszy. Zresztą ten skądinąd nie podlegający dyskusji argument bywa różnorodnie interpretowany, nierzadko staje się banałem, trać rezerwowość, prowadzi do mentorstwa. Ale jedno jest pewne: sprawy, które przy dobrej woli zainteresowanych stron są do rozwiązania, urastają do rangi problemu wówczas, gdy w przedsiębiorstwie czy instytucji nie ma właściwej atmosfery, gdy brak wzajemnego zrozumienia.

Współczesne emancypantki zamiast sentymentalnych apeli lub bojowych filipik, posługują się naukami społecznymi, badają rzeczywistość, by wykryć źródła zjawisk, a w interesującym nas przypadku — przyczyn trudnej sytuacji jedynych żywicieli rodzin.

Jak już wspominałem, największą trudnością sprawia tym kobietom zapewnienie opieki nad dziećmi. Matki opuszczają pracę, bo dzieci chorują, spóźniają się lub wcześniej wychodzą, bo muszą odprowadzić i przyprowadzić je z przedszkola. A ile matek idąc do pracy, pozostawia swoje dzieci w ogóle bez opieki, gdyż nie ma wystarczającej liczby placówek wychowania pozaszkolnego. Często niełatwo jest umieścić ucznia w świetlicy szkolnej, w której,

czekając na powrót matki, odrobiliby lekcje i zjadli obiad.

Jeszcze raz na porządek dnia wysuwa się sprawa sieci placówek specjalnych, głównie zakładowych. Rozwiązanie tego problemu wymaga i czasu, i środków finansowych. Ale czym tłumaczyć nieudzielenie matkom urlopow w okresie ferii co u niemożliwia zorganizowanie wypożyczyni dla całej rodziny. Dlaczego otrzymują tak mało skierowań na wczasy rodzinne? Rejestr skarg jest o wiele dłuższy.

Wyłania się także zagadnienie opieki lekarskiej nad kobietami. Niektóre z nich twierdzą, że z braku czasu nie leczą się, albo nie chcą narażać się na szkykany z powodu nieobecności w pracy (tylko 23 proc. uczestniczek ankiety uważa się za zdrowe, pozostałe skarżą się na anemię, nerwicę, schorzenia wątroby, reumatyzm i inne dolegliwości). Niezbyt liczny odsetek korzysta z sanatoriów, a najczęstszą formą pomocy socjalnej są pożyczki zaciągane w okresie jesiennym.

Drugim bardzo istotnym źródłem obustronnych pretensji — pracodawców i pracownic — jest stosunek tych kobiet do obowiązków służbowych. Jedną z autorek piszących o kobietach pracujących użyła terminu: „przenoszenie pracy do domu”

oraz „przenoszenie domu do pracy”. Niewątpliwie wiele jedynych żywicieli rodzin „przenosi dom do pracy”, ale skarżą się, że pracodawcy nie wnikają dlaczego np. odmawiają pozostania poza godzinami w biurze, dlaczego unikają wyjazdów w teren. Twierdzą, że są lepszymi pracownikami niż wiele innych, bo im na pracy zależy, lecz brak czasu nie pozwala np. na doksztalcenie, a tym samym zdobywanie wyższych kwalifikacji, co m. in. utrudnia im awansowanie, a tym samym polepszenie warunków materialnych.

Warto tu dodać, że uczestniczki ankiety nie wysuwają w zasadzie wygórowanych żądań; ich wnioski i postulaty dotyczą głównie respektowania przez pracodawców istniejących przepisów, m. in. określających zakres ulg dla uczących się (niektóre z tych kobiet, mimo trudnych warunków, usiłują pogodzić obowiązki domowe z nauką).

Wspomniałem o atmosferze w zakładach pracy. Nie będę rozpisywał się o subiektywnym stosunku pracodawców do jedynych żywicieli rodzin; sprawy te należy traktować indywidualnie, ale liczne skargi świadczą o niepokojącym zjawisku, różnorodnych szkykanach, groźbach zwolnienia z pracy itp. A o samopoczuciu tych kobiet decyduje nie tylko

wysokość zarobków, ważne jest także poczucie stabilności pracy; kolektyw w biurze czy fabryce zastępuje im brak oparcia w kimś bliskim, co z kolei ma wpływ na efektywność ich pracy oraz postawę wobec otoczenia. I ten aspekt zagadnienia zasługuje na szczególną uwagę. Przecież samotna matka, zagrożona w swej pozycji, niepewna jutra, nie jest w stanie uporać się z trudnościami materialnymi lub kłopotami wychowawczymi.

Oczywiście to tylko niektóre uwagi o ważnym społecznie zagadnieniu, bo dotyczącym co dziesiątej kobiety pracującej. Ma rację Krystyna Wrochno pisząc, że rozwiązanie tego problemu wymaga w pierwszym rzędzie jego dostrzeżenia. Badając je, można zdobyć sporo materiału dotyczącego wielu innych spraw, np. dlaczego tak liczna grupa kobiet skazała jest na samodzielne utrzymywanie rodzin, jakie czynniki powodują dezintegrację rodziny itp. A zagadnienia wychowywania dzieci w niepełnych rodzinach?

<sup>\*)</sup> Krystyna Wrochno — „Warunki pracy jedynych żywicieli rodzin”; „Kultura i Społeczeństwo” tom X 1966.

Adolf Jakubowicz

## O INFORMACJI NIE TYLKO TURYSTYCZNEJ... (DOBRCZE I ŹLE)



Turysta, który pierwsze swoje kroki skieruje z dworca kolejowego ku miastu natknie się z pewnością na dużą planszę z planem Rzeszowa. Przeczyta tam wiele interesujących informacji dotyczących tego miasta. Dowie się na przykład, że wśród obiektów architektury nowoczesnej znalazły się nie tylko gmachy użyteczności publicznej wybudowane w tym mieście po wojnie, ale również... zabytkowe synagogi, wysłużony, mocno nadwierzony przez czas rzeszowski Wojewódzki Dom Kultury... i inne ani nowe, ani nowoczesne budynki.

To, że twórcy planu oznaczyli ważne dla zwiedzających zabytki, obiekty, ośrodki w sposób księżycowy, to sprawa ich kompetencji i odpowiedzialności, że na tej samej planszy, obok której przechodzą codziennie tysiące uczniów, chyba w celach dydaktycznych, po-

kazał, jak w języku polskim nie wolno dzielić i skrać wyrazów — to sprawa nauczycieli, którzy na temat tej „pomocy naukowej” powinni się byli dawno wypowiedzieć... Na szczęście czas — najlepszy lekarz, sprawy te niedługo rozsądzi, malowidło z każdym miesiącem szarzeje i sądzi, że niedługo przestanie straszyć.

Plan miasta należy do starych grzechów informacji turystycznej, tych samych, które przyczyniły się do powstania głosnej dziś w kraju „antymapy” województwa rzeszowskiego z kiczowatymi malunkami amatora.

Jan Grygiel prowadzący od szeregu miesięcy kampanię o wycofanie tego curiosum ze sprzedaży donosił kiedyś z satysfakcją, że Komisja Kultury, Sportu i Turystyki Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie taką właśnie decyzję po-

wzięła. Miał rację. Tak było istotnie.

...Ale we wszystkich kioskach, księgarniach w sezonie letnim r. 1966 „antymapę” sprzedaje się nadal. Podobno do decyzji zabrakło zarządzenia wykonawczego, czy czegoś w tym rodzaju...

Do starych błędów omal nie doszły nowe. Przed sezonem turystycznym miałem możliwość zobaczyć nowy plan miasta Rzeszowa wykonany przez rzeszowską „Reklamę”, Kiczowaty, niechlujny, z szeregiem błędów i braków. Cierpliwie krąże po mieście, by zobaczyć, kogo z kolei to „dzieło” wprowadza w błąd...

Od kilku lat pisząc na te tematy zwracałem uwagę, że istnieje w województwie rzeszowskim dyspropor-

CIĄG DAJSZY NA STRONIE 2



# O informacji nie tylko turystycznej

(Ciąg dalszy ze str. 1)

cja między reklamą turystyczną województwa rzeszowskiego a tym co może znaleźć turysta w rzeczywistości. Pięknie wydawane przez krakowski WAG plakaty zachęcają „Do zobaczenia w pięknym Przemyślu”, „Przyjeżdżajcie w Bieszczady”, „Beskid Niski czeka na Ciebie”. Plakaty te rozsyłane po wszystkich większych miastach w kraju (spotykałem je w Olsztynie, na Wybrzeżu, w Warszawie) przysporzyły

zwyczaj się, że pod znakiem tym znajdzie wskazówkę, która ułatwi mu dalszą podróż; kolor, kształt, układ symboli ma tu duże znaczenie przy szybkim kojarzeniu pewnych pojęć, na których analizę człowiek jadący z szybkością 50—60 km na godzinę nie zawsze ma czas.

Z myślą o turystach zmotoryzowanych, a jest ich na głównych trasach województwa coraz więcej, wydano drobną, ale także potrzebną rzecz: wykaz stacji benzynowych,

miejsowości całkowicie od siebie odmienne geograficznie, historycznie, widokowo. Przy dokładniejszym przyglądnięciu się zaproponowanej turystom trasie widzimy jak wiele zmieniło się na niej w ciągu ostatnich lat, jak bardzo potrzebna jest tu aktualna informacja mówiąca o tych zmianach.

Wraz z otwarciem trasy rzeszowski WOIT wydał trzydziestostroonicową publikację „Szlakiem Tysiąclecia przez Rzeszowszczyznę”. Autorem jej jest Adam Socha. Wróżyć tej niewielkiej książeczce powodzenie. Prowadząc Szlakiem Tysiąclecia Rzeszowszczyznę mówi ona, choć z konieczności w dużym skrócie, o rzeczach i sprawach interesujących, podpowiada co warto zobaczyć, zwraca uwagę na wydarzenia historii najnowszej, nie zapominając o sprawach tak „prozaicznych” jak możliwości noclegu i wyżywienia w danej miejscowości.

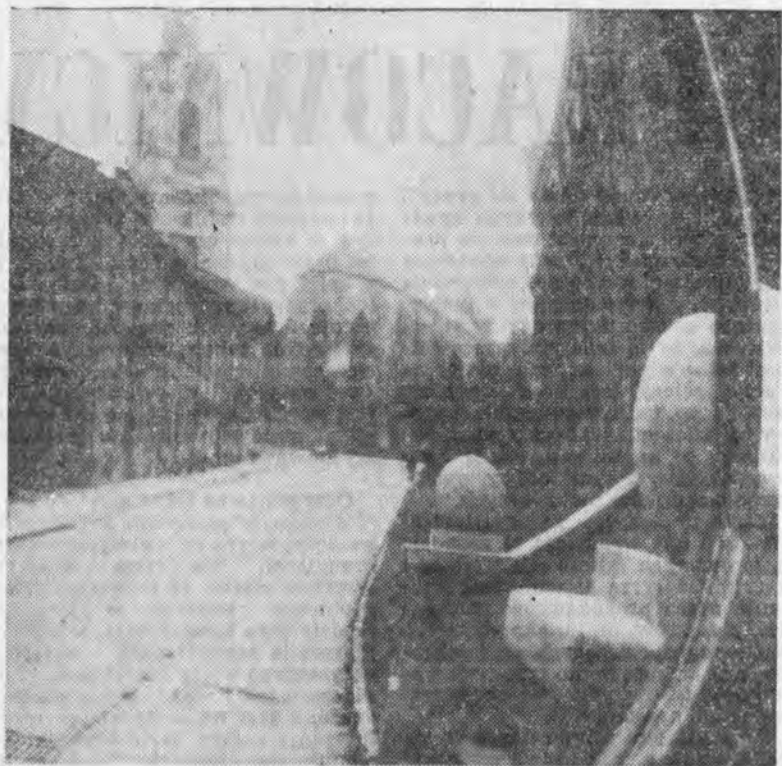
Myślę, że wielu turystów nie rozstanie się z nią po przejechaniu trasy, że korzystać z niej będzie jak z przewodnika po województwie rzeszowskim, którego ciągle nie możemy się doczekać.

Pisząc z uznaniem o pierwszych jaskółkach dobrego, celowego oznaczania tras turystycznych w województwie rzeszowskim, nie chcę bynajmniej twierdzić, że jest dobrze. To, że każde miasto w województwie rzeszowskim wita i żegna turystów — to bardzo ładnie z jego strony. Tylko dlaczego ten pierwszy powitalny i pożegnalny akcent jest niestety dość często po prostu szmerem? Diabli mnie po prostu biorą, gdy schludne, czyste Krosno na głównej trasie prowadzącej w stronę Sanoka ustawiło koszmarnego knota, który wita i żegna wjeżdżających i wyjeżdżających?

Wiem, że przedsiębiorstwa handlowe w trosce o plan starają się jak mogą zdobyć klienta. Walczą więc o niego restauracje, gospody, hotele (chyba tak, jeśli co drugie słowo to — „zapraszamy”, „witamy”, „odwiedzajcie nas”). Walka o plan coraz częściej przenosi się z jakości potraw, czystości pomieszczeń, sprawnego obsługi na... ulice.

Rezultaty jej oglądamy w tandentnych, amatorskich tablicach informacyjnych, z uśmiechniętymi kelnerkami, z odmalowanymi „jak żywe” górami. Kto wyraża zgodę na ustawienie wzdłuż dróg tych „arcydzieł”, nie wiem. Ale wiem, że są one przykładem prowinejonalnej tandety plastycznej, która nie przynosi nam zaszczytu i dobrze przyczynia się do utrwalania obiegowych nie najlepszych stereotypów o Rzeszowszczyźnie.

Robi to zresztą bezkarnie na nasz rachunek, jak nieuczciwy kelner dopisujący do niego datę swojego urodzenia. **ADOLF JAKUBOWICZ**



Fot. M. KOPEĆ

PRZEMYSŁ

nam na pewno niejednego turystę, który być może, na urlop wybrałby inne rejony Polski.

Nieczęsto się zdarza, aby propagandowy plakat, przeznaczony raczej do krótkotrwałego użytku oprawiano w ramy, chowano pod szkło, naklejano na tekturę, byleby tylko przedłużyć jego żywotność. A tak właśnie dzieje się z plakatami rzeszowskiej turystyki. I to jest chyba dobrze.

Wysuwałem niejednokrotnie zastrzeżenia, że dla lepszej, pełniejszej obsługi ruchu turystycznego w Rzeszowszczyźnie brak właśnie i n i o r m a c j i. Nie tej ogólnej, że pięknie, że ciekawie, ale gdzie można się zatrzymać, gdzie zjeść obiad, gdzie postawić samochód, co warto zobaczyć. Jestem realistą i wiem, że po latach zaniedbań na tym polu nie da się wszystkiego odrobić, że ważna jest tu nie tylko koncepcja informacji turystycznej, jej adresat, ale i... czas na realizację planów.

W ciągu ostatnich kilku tygodni byłem na wszystkich ważniejszych trasach turystycznych, jakimi dziś w pełni sezonu ciągną plesie i zmotoryzowani turyści. Taki wiosenny raj odbywam co roku. Zarzucano mi niejednokrotnie, że rezultaty tych wyjazdów przynosiły artykuły i audycje, które zamiast zachęcać do przyjazdu odstraszały potencjalnych turystów od wybrania się w te strony.

Oto kilka obserwacji nie roszących sobie bynajmniej pretensji do uogólnień. Sporo zrobiono w województwie rzeszowskim przy oznakowaniu głównych tras turystycznych. To wielkie zamierzenie Wojewódzkiego Ośrodka Informacji Turystycznej w Rzeszowie realizowane przez grupę rzeszowskich artystów (Jerzy Majewski, Robert Pełczyński, Irena Wojnicka, Bolesław Dusza i Stanisław Chrapkowski) za pośrednictwem Przedsiębiorstwa „Pracownie Sztuk Plastycznych” ma pewną charakterystyczną cechę. Jest nią j a s n o ś ć, p r z e j r z y s t o ś ć kompozycji graficznej. Turysta jadący samochodem bez trudu przeczyta, w jakiej odległości od skrzyżowania jest stacja benzynowa, hotel. W mieście może mu znaleźć drogę schematyczny plan, pokazujący mu w sposób czytelny najbliższą drogę (wyjazdową i wyjazdową). Plansze informacji turystycznej mają białe tło dobrze odcinające się od otoczenia. Sposób oznakowania zgodny z ogólnie przyjętymi zasadami. Wydaje mi się, że ta lapidarność plastyczna i treściowa informacji jest chyba ich największą zaletą.

Tablice „IT” wprowadzają przy głównych drogach województwa rzeszowskiego pewien spokój i porządek. Człowiek jadący motocyklem, rowerem, samochodem przy-

godziny ich otwarcia, rodzaj sprzedawanej przez nie benzyny. Dobrze, że składanka ta pomoże również zagranicznym turystom, gdyż część informacyjna wydrukowana jest w kilku językach. Szkoda, że poza stacją CPN w Brzozowie przy żadnej innej nikt z obsługi nie zaproponował nam wraz z rachunkiem za benzynę tej pożytecznej informacji.

Inny przykład. Na murach miast pokazał się niedawno plakat Heleny Majewskiej, zachęcający do zwiedzania Szlaku Tysiąclecia w województwie rzeszowskim. Jest to piękna trasa, prowadząca od Sandomierza przez Tarnobrzeg, kopalnię siarki w Piasecznie, Baranów, Rzeszów, Łańcut, Przemyśl, Krasieczyn, następnie przez obwodnicę bieszczadzka, Lesko, Sanok, Krosno, Jasło, Biecz, Gorlice do Grybowa, 461 kilometrów podróży przez tereny i

ZB. ZIEMBOLEWSKI  
SPASIBA  
MALCZYK

Toczy się rozmowa. O planach, hodowli, byczkach na eksport, grymasach kupca ze słonecznej Italii. Dla mnie to nowość, dla nich szaryzna dnia powszedniego, toteż temat ruwie się. Chcą o czymś innym. Ktoś uderza „w politykę”, inny przypomina, że to akurat ćwierć wieku minęło od napaści Niemców na Związek Radziecki i założenia obozu jenieckiego w Pełkiniach.

— Rozciągał się ot tu, prawie za oknem tego budynku, tam gdzie rzepak dojrzewa... — Wspominają, a ja słucham. Opowiada Michał Prymal.

„Było to w drugim roku istnienia obozu. Miałem wówczas czternaście lat. Sołtys wyznaczył mnie i kilku innych do wywożenia nieczystości z obozowych ustępów. Służyły do tego wielkie, drewniane skrzynie o pojemności ponad dwu metrów sześciennych każda. Kloakę ładowali jeńcy, my zaś mieliśmy ją tylko wywieźć i wylać na dworskie pola lub łąki. Robota nie należała do przyjemnych. W tym czasie, w obozie umierało na czerwonkę i tyfus po kilkadziesiąt osób dziennie. O chorobę nie było trudno.

Za druty pojechałem podniecony i ciekawo ludzi, którzy tam przebywali, odcięci od świata. Zatrzymałem konie w pobliżu latryny i

czekam aż jeńcy załadują skrzynie. Patrzę na nich i widzę, że robota idzie im jakoś niemrawo. Niby nalewają, a w wiaderkach prawie pusto, rozglądają się, coś szepczą między sobą. Przysuwa się Rosjanin do mnie i prosi, bym pomógł mu uciec z obozu. Zaskoczyło mnie z wrażenia. Radbym to uczynić, ale jak? Kłaniam głowę i czekam na wyjaśnienia. Żołnierz rozjeździł się wokół, stanął na skrzyni, niby to odbierać wiaderka od współtowarzyszy, a w rzeczywistości po to, by wsunąć się niepostrzeżenie do jej wnętrza. Czwile później uczynił to samo drugi, po nim trzeci. Skulili się, głowy im tylko ponad nieczystości wystają.

Przykryłem pokrywę, podciąłem konie i jadę do bramy. Im bliżej, tym bardziej skóra na mnie cierpieje. Ledwie bat w garści trzymam. Boję się — nuz zajrzę Niemcy do skrzyni. Nie będzie wtedy żartów. Pacierz zacząłem w duszy odmawiać. Za nich i za siebie.

Spojrzałem wartownic na mnie, rozchylił wrota i... Schnell! Schnell! — krzyczy i łapie się za nos. Od wozu wionęło bowiem fetorem trudnym do zniesienia. Wyjechałem poza obóz i odetchnąłem. Swisnąłem batem, konie ruszyły raźniej. Zajechałem w krzaki, które zarastały

Roman Lis

(debut)

modlitwa

Bogusł



„Jej dłonie małe na wiatrakach snów  
choć ze mnie ocal  
niech jak skrzydła ognia  
cienia nie musną  
lecz ponad popioły  
wysoko

z ptaków odrodzą się snów\*  
nocy zamknięta — słyszysz?  
ważki słów  
tłuką o siatkę czarną  
w twoich oknach



tłumaczenie...

nie to nie ciebie  
w drewno chciałem zmienić

ciebie odleję z gipsu mojej treści  
i tak ustawię abyś miała wiadek  
na bramę życia  
skąd motyle spłyną  
białe od pleśni

z swych pancerzy czasu

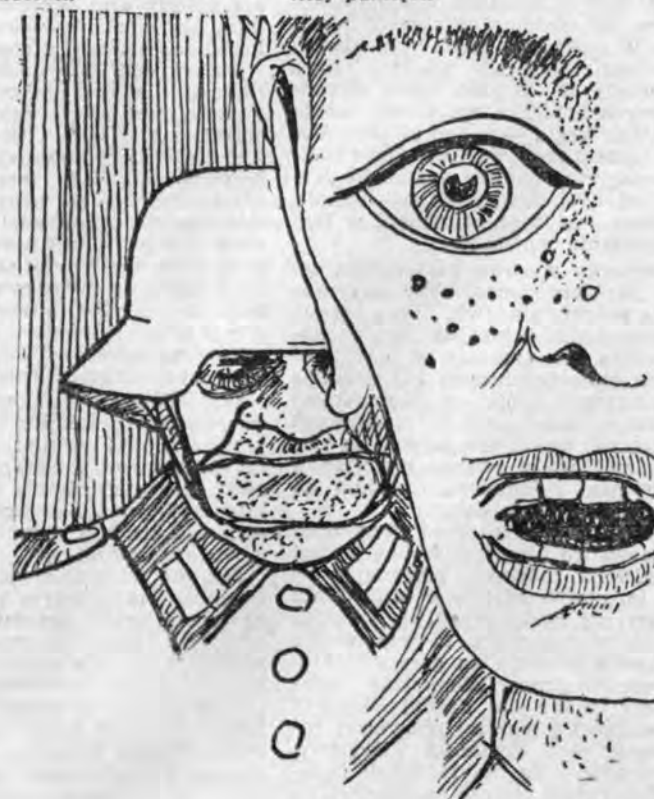


łąkę w jednym jej końcu. Popatrzyłem, czy w pobliżu nie ma kogoś niepożądanego i cicho wołam: — Wychodźcie, jesteście wolni!

Wyjrzał ze skrzyni jeniec, zobaczył, że furmanka stoi w zaroślach, pochwalił mnie za roztropność i gramolił się z mazi. Głowa podobna do człowieka, a reszta... Blady z zaduchu i niedożywienia aż strach. Ledwie się na nogach trzyma. Radbym go podtrzymał, lecz nie ma za co uchwycić — lepi się cały. Wyszli pozostali.

— Spasiba malczyki! — Pomachał mi dłońmi na pożegnanie i zaszyli się w krzaki. Zobaczyłem ich jeszcze raz, jak daleko ode mnie przemykali rowem w pole. Byli wolni.

Południowy odpoczynek dobiegł końca. Spółdzielcy idą do pracy, a ja spieszę do autobusu. Odjeżdża za 20 minut. Mijam zielone łąki. Po pekińskim obozie nie pozostało śladu, tylko wspomnienia w ludzkiej pamięci.



Rys. J. SIENKIEWICZ



Zbigniew Wawszczak

W ciasnym pokoju wypełnionym niemal przez rzeźby pokaźnych rozmiarów, niekiedy naturalnej wielkości, przyjmuje mnie mężczyzna, wysoki, szczupły o ascetycznej twarzy.

Skończył więc Antek 6 klasę i w miarę jak miał jeden, drugi rok, z bólem rozstawał się z myślą o lekiej szkole. Pomagał w gospodarstwie, a w wolnych chwilach wracał do swej ulubionej diubani-

chowawca tyłu artystów, Antoni Kenar.

Indywidualność mistrza wycisnęła głęboki ślad na osobowości Rząsy. Z właściwą sobie lakonicznością określili to tak: wszystko, co zrobienie, wszystko to zawdzięczać Kenarowi". Rząsa pomija tu własne zdolności. Z drugiej strony nie ulega przecież wątpliwości, że Kenar, świetny wychowawca poznał możliwości chłopca, że on wprowadził go w świat sztuki, pomógł w określeniu własnego ja, zawążył w decydujący sposób na jego przyszłości.

Ulubionym materiałem Rząsy jest drewno. „Lubię drzewo, ono ma kształt, zapach, ono żyje, ale stawia też opór...". Pan Antoni pozostał wierny materiałowi swego dzieciństwa... Zasadniczą trudność polega na tym, że z drzewem trzeba się liczyć, trzeba iść za słojem, nie ma tu (jak w gipsie, glinie) możliwości dodawania, odejmowania... Ja najlepiej czuję drzewo, ten materiał jest mi najbliższy. Najchętniej rzeźbię w lipie, w czasie podróży do Włoch podziwiałem w Pizie rzeźby z XII wieku, świetnie zachowane, lipa żyje najdłużej, poza tym robię w brzoście, dębie, topoli, orzechu, staram się wykorzystać każdy kawałek drewna, także dlatego, że jest drogie"... Jest w tej postawie coś bardzo bliskiego nam, coś rodzimego, słowiańskiego z ducha. Rząsę ukształtowała zgrzebna wieś podrzeszowska, po-faldowane wzgórza, dawny wiejski obyczaj, przydrożne świątki, drewniane kapliczki, monotonia pracy, znojnej, ciężkiej na ojcowskim zagonie, obcowanie z naturą... Te wpływy można zobaczyć również w jego twórczości, przetworzone, ukształtowane w nową wizję, przemawiającą z ogromną ekspresją. To dlatego chyba również swój ból z powodu utraty ukochanego nauczyciela potrafił wyrazić tak sugestywnie właśnie w rzeźbach o tematyce sakralnej. Dlatego obraca się on chętnie w kręgu swojskich wiejskich motywów. W zaprojektowanej przez siebie oryginalnej kolyse wykonał wraz z uczniami (pan Antoni jest od 57 roku wykładowcą w zakopiańskim liceum sztuk plastycznych, do pracy tej przygotował go jeszcze Kenar, przez dwa lata pracowali razem) zobaczyć można stylizowane kurki, gaski, krowy. Dziesięciomiesięczny Marcinek, pierworodny syn Rząsy bawi się zwierzątkami, dokładnie ogląda — tak przynajmniej twierdzi ojciec — każdą nową rzeźbę,

U RZEZBIARZA Z FUTOMY



RODZINA — RZEŻBA W DRZEWIE

Pierwsze wrażenie: jakież on podobny do niektórych swoich rzeźb, do surowych, pozbawionych jakichkolwiek zbytecznych szczegółów postaci.

Niektórzy sądzą, że jestem twórcą religijnym, ale to nieprawda. Widzi Pan te rzeźby — Antoni Rząsa wskazuje na ścianę z kilkoma figurami Ukrzyżowanego — to wszystko powstało w końcowej fazie choroby Kenara. W 1949 r., kiedy Kenar wrócił z Warszawy, kiedy dowiedzieliśmy się, że już nie ma dla niego ratunku... Chciałem jakoś wyrazić to, co się ze mną działo, szukałem gorączkowo formy.

„Przedziwne uduchowanie tych rzeźb — pisał znany warszawski krytyk plastyczny, Andrzej Oseka — osiągnięte jest ogromnie prostymi środkami, bez jakiegokolwiek gwałtownej mimiki, gestykulacji, bez jakichkolwiek przesadnych grymasów”.

Rząsa mówi niewiele, jak gdyby niechętnie. Sądzą, że należy raczej do rzędu ludzi zamkniętych w sobie. Uderza przy tym jego niekłamana skromność. A przecież jest to rzeźbiarz o własnej indywidualności, znany i ceniony nie tylko w kraju... Trudno dziennikarzowi wystawić jakąkolwiek cenzurę, bez żadnej przecież przesady powiedzieć trzeba, że jego twórczość jest zjawiskiem znaczącym w obrazie współczesnej rzeźby polskiej. Jest to zresztą dorobek oryginalny, stroniący od wszelkich mód, czy powierzchownej akceptacji nowych rozwiązań, kierunków. Przykład: seria prac znakomitych zresztą, stanowiących chyba największe osiągnięcie w dotychczasowym dorobku artysty, a wyrosłych w kręgu tematyki sakralnej. Może rodowód tego właśnie ognia twórczości Antoniego Rząsy najlepiej tłumaczy szczególnie z jego biografii. Nielatwa była droga chłopca z podrzeszowskiej wsi do świata sztuki.

„Odkrycie” jego zdolności było przypadkowe: któregoś dnia nauczyciel z Białowej (w rodzinnej Futomie była tylko szkoła 4-klasowa) zauważył przyniesione i wykonane przez Rząsę zabawki, ocenili w lot, że chłopak ma niebagatelne zdolności, że warto byłoby go wysłać do słynnej szkoły rzeźbiarskiej w Zakopanem. Nie było to jednak takie proste w latach trzydziestych: nie miał bowiem kto pokryć kosztów edukacji. Rodzice, właściciele dobrze zresztą prowadzonego, ale niedużego gospodarstwa, nie mogli o tym myśleć.

ny. Tymczasem młodszy brat znalazł się w piątej klasie w Białowej. Kiedyś nauczyciel zwrócił uwagę na jego nazwisko, przypom-



ANTONI RZĄSA

niał sobie o Antku, zapytał gdzie jest i co porabia.

Szcześliwym trafem ufundowano właśnie jakieś skromne stypendium regionalne, nauczyciel poparł całym swoim autorytetem Rząsę. Co prawda stypendium to nie pokrywało w zupełności chesnego, lecz kilkanaście złotych dołożył ojciec i tak oto w roku 1938 Antoni znalazł się w Zakopanem. Ledwo co rozpoczęta edukacja przerwała brutalnie wojna. Antoni wrócił do Futomy, tu spędził pięć długich, ponurych lat. Ale ciągle nie mógł pogodzić się ze swym losem i skoro tylko dowiedział się o uruchomieniu szkoły, zjawił się w Zakopanem. Pojechał ku zgorzzeniu rodziny i znajomych, bo przecież upłynęło tyle czasu, wszyscy uważali, że jest już za stary, aby się uczył.

Mimo wszystko pojechał, wzywał go przecież jego ulubiony nauczyciel, znakomity pedagog, wy-

która znajdzie się w domu. Rząsa brał udział w wielu wystawach w kraju i za granicą, sporo jego prac trafiło do kolekcji zagranicznych koneserów. Sam artysta kładzie przede wszystkim nacisk na wystawy indywidualne, miał ich już pięć, szósta otwarta zostanie latem br. w Galerii Plastyków na MDM w Warszawie.

Z rodzinnymi stronami utrzymuje bliskie kontakty, odwiedza zamieszkałe w Futomie rodzeństwo — siostrę i brata, niedawno bawił na kuracji klimatycznej w Lubaczowskim.

Zapytałem pana Antoniego, czy nie chciałby pokazać swych prac w Rzeszowie. Odpowiedział, że bardzo chętnie, jeżeli tylko otrzyma odpowiednią propozycję. Myślę, iż o ofertę taką nie będzie trudno z dwu przynajmniej przyczyn: Rząsa jest cenionym rzeźbiarzem, a ponadto pochodzi z Rzeszowszczyzny.

Wojciech Den-Zurowski

KŁOPOTY „KANONIKA” PRZEMYSKIEGO — ŻUROWSKIEGO DZIEDZICA

Orzechowscy przybyli na ziemię przemyską ze środkowej Polski, zapewne na przełomie XIV—XV w. Matka i babka Stanisława były córkami księży grecko-katolickich. Ojciec jego, pisarz ziemski przemyski, również Stanisław, szlachcic herbu „Oksza”, miał sześciu synów i pięć córek, wychowywanych w tradycji polsko-ruskiej w Orzechowcach pod Przemysłem. Z czasem, dobrze gospodarząc, nabył jeszcze kilka innych wsi, a między innymi Żurowice w pow. przeworskim.

Stanisław syn, ur. w 1513 roku, jak podają biografie i na co wskazuje jego późniejsza działalność umysłowości bardzo żywej, uzdolniony, wyjechał już w 14 roku życia do Wiednia na dalsze, zaczęte w Przemysku i Krakowie nauki. Wpływowo ojciec wyjednał mu przedtem kanonię przemyską, z czego czerpał zyski, a następnie probostwo niedalekiej Żurawicy. Tymczasem młodociany „kanonik”, z zagrożeniem przez tureckiego Solimana Wiednia, uszedł do Niemiec, gdzie słuchał wykładów reformatorskiego Lutra, Melanchtona i innych. „Nowinki” chłonał chciwie, lecz chęć obojętności i krytycyzmu, nie gorszyli się zeń, pragnąc odpowiednio ukierunkować obiecującego słuchacza. Po upływie kilkunastu lat, gdy ojciec naglił do powrotu, chcieli go w Rzymie zatrzymać. Lecz trzydziestoletni — ciągle kleryk, wrócił już na stałe do domu. Wyświęcić się nie chciał. Ojciec nie mógł zrozumieć takiego stanowiska syna i go bezskutecznych słownych naleganiach, zagroził wydziedziczeniem. To odniosło skutek. Stanisław godząc się już uprzednio na ewentualne święcenia w obrządku greckim, co nie przeszkadzało mu wprawdzie pojąć żonę, zmuszony został we Lwowie do zostania księdzem w obrządku rzymskim. Działo się to u przyjaciela ojca, dawnego proboszcza jarosławskiego, arcybiskupa Piotra Starzechowskiego.

Z miejsca więc, neoprezbiter objął faktycznie parafię w Żurawicy, wkrótce został archidiaconem, ofi- cjałem sądu biskupiego, lecz do uszu ówczesnego ordynariusza Dziaduskiego, zaczęły dołatywać niepokojące wieści o złym prowadzeniu się kanonika. Kanonik lubił kobiety, po niedługim czasie jawnie zaczął chrzącić nieślubne dzieci, tłumacząc biskupowi, że tak robi wielu plebanów. Mało tego, wszem i wobec rozpowiadał, że się ożeni. Tego było biskupowi już za dużo. Najpierw wezwał go do wytłumaczenia się, a za jakiś czas wytoczył proces, pozbawił goności, groził konfiskatą dóbr i banicją, ogłaszając surowy wyrok.

Ówczesna Rzeczpospolita przeżywała wewnętrzną niepokoj. Dość było szlachcie gniotącej przewagi kościoła i kleru, jego przywilejów atakowanych przez Reformację, jego całkowitej arbitralności. Orzechowski z wielką pasją bronił się i młota, atakuje i grozi biskupom i papieżowi, często w sposób niewybredny. Szlachtę, pobrzekującą szablami ma za sobą. Porusza sejmiki i sejmy. Atakuje celibat, a w szczególności wyrok na siebie. Ma i niektórych biskupów za sobą. Miesza swoje osobiste sprawy ze sprawami publiczno-państwowymi, płynąc na fali powszechnego skłócenia. Wreszcie w roku 1551 żeni się w Łęcinie pod Jędrzejowem z 16-letnią Magdaleną Chełmską, córką burgrabiego zamku krakowskiego. Po hucznym weselisku wraca do Żurowic (dziś Żurawiczki) i osiada tu z żoną na stałe. Słubu udzielił mu pleban z Niedźwiedzia, Feliks. Gospodarując na dość dużym folwarku na dobrej ziemi przeworskiej, korzysta również z opieki fi-

nansowej hetmana Jana Tarnowskiego, a później jego syna, panów na Przeworsku i Goruchynie. Po zdjęciu zeń obciążeń biskupiego wyroku, korzysta z pełnej swobody, lecz nie może ulegalizować swego małżeństwa. Interweniuje wiele osobistości: biskupów, nuncjuszy papieskich, sam król Zygmunt August, lecz obiecywana przez nich aprobata papieska nie przychodziła. Orzechowski jako konsekwentny mąż i ojciec, wychowujący w Żurowicach 5 dzieci, cierpi jednak wewnętrznie, pisze bowiem w jednym z listów, że „żywi w sobie sępa, który go dniem i nocą szarpie”.

Pół roku przedtem ożenił u siebie proboszcza z Sądowej Wiszni Marcina Krowickiego. Przeworski proboszcz Bożogrobców, nie pytając Orzechowskiego o szczegóły, wydelegował swego wikarego Ostafija, który o zgrozoli, jak się okazało w Żurowicach związał młodą parę, starszawego proboszcza z 15-letnią dziewczyną w konwencie w Urzejowicach. Przed tym jeszcze, broni Orzechowski w sądzie w Krakowie pierwszego żonatego księdza Walentego z Krzczonowa. Dawni przyjaciele jak Kromer i Modrzewski odsuwają się od niego, wspomniany Krowicki popada w jego nielaskę, przeszedł bowiem jawnie do „innowierców”, a Orzechowski pozostał katolikiem, przechodząc coraz bardziej na pozycje wsteczne, czego wyrazem są teokratyczne poglądy społeczno-polityczne wyłożone w Quinkunksie”.

W międzyczasie pisze i głosi wiele mów bojowych i panegirycznych. Sławne, bo tłumaczone za granicą w zachodniej Europie „Turcyki” (mowy przeciw Turkom), jedyną mu w całej Europie sympatię. Publicystyka krajowa namiętna, a często paszkwilancka, jednych zachwyca, drugich zaś do żywego oburza. Orzechowski lubi wprzągnąć swój talent, nie gardząc nawet zapłatą, dla dobra jednych, a na pożałowanie drugich. Nie jest rzecznikiem postępowości i słusznej sprawy polskiej czy ludzkiej. Trybun swawolnej szlachty, sam nieokielzany byszością sztuką oratorską i umiejętnością walki na platformie publicystycznej - dziennikarskiej.

Na wiosnę 1566 r. zmarła mu żona. Za kilka miesięcy, pograżając się coraz bardziej w melancholii, umiera i on przedwcześnie w wieku lat 53. W ojcowskich Żurowicach dorastają pod opieką krewnych dzieci, z których syn najstarszy uczy się u jezuitów w Wiedniu, inny za kilkanaście lat pełni stanowisko-państwowy urząd w Inflantach. Żurowice przechodzą w obce ręce. Pamięć o Orzechowskim jest początkowo po jego zgonie, w dobie kontrreformacji, raczej złowroga, w ciągu dwóch wieków zanika, dopiero na przełomie XVIII—XIX wieku odgrzebuja ją z pyłu zapomnienia Franciszek Bohomolec, Józef M. Ossoliński i inni. Wydając jego pisarski dorobek, bardzo co do merytorycznej wartości nierówny, nikły i w końcu wsteczny, ukazują go jednak jako cenny dokument osobowości Orzechowskiego, świadectwo czasu i epoki.

Bez powołania, ksiądz z ojcowskiego przymusu, obciążony sarmatyzmem, wielbił ciętą czy raczej wad brnącego w „złotą wolność” stanu szlacheckiego, miał dziedzic żurowski życie nader burzliwe, pełne ustawicznej walki. Zmarł w Przemysku, nie doczekawszy się uregulowania swego małżeństwa.

W 406-lecie jego zgonu warto zapoznać się z biografią Orzechowskiego, intrygująca do dzisiaj. Na tle ówczesnych stosunków państwo-wo-kościelnych postać ta jest dość znamieną jako „signum temporis” — znamię czasu.







Emilia i Stanisław Wasylkiewiczowie. Pani Emilia pokazuje, że na tym piecu ukrywał się przed hitlerowcami ich syn. Państwo Wasylkiewiczowie w czasie okupacji ukrywali partyzantów, m. in. ранego partyzanta o pseudonimie „Prawdźic”.



Pamiątkowy medal wybitny z okazji 800-lecia osady flisackiej i 350-lecia Ulanowa.

W czerwcu mieszkańcy Ulanowa obchodzili uroczyste 800-lecie powstania osady flisackiej i 350-lecie nadania praw miejskich. 81-letnia Emilia Wasylkiewicz i 4 lat starszy mąż Stanisław, znają wiele ciekawych wydarzeń z dziejów miasta.

Wasylkiewicz posiada prywatny zbiór dokumentów wiążących się z dziejami Ulanowa. Między innymi w odpisie „Ankiety Słowa Polskiego” z roku 1911 czytamy: „Dopiero w roku 1616 król Zygmunt III, jak świadczy kopia dokumentu oryginalnego, dał podówczas ziemi przemyskiej, dziedzicowi wsi Bieliny Stanisławowi Ulińskiemu, pozwolenie na założenie miasta Uliny, dziś Ulanowem zwanego. Tym samym dokumentem zezwolił tenże król, a by miasto rządziło się prawami magdeburskimi.

Takich dokumentów jest w Ulanowie więcej. Czekają one na historię, który opracowałby obfitujące w wydarzenia dzieje miasta. Nauka i znaleziska archeologiczne wskazują bowiem na jego starożytność. Już 6 tysięcy lat temu pojawili się tu pierwsi osadnicy.

Doskonałe położenie u ujścia Tanwi do Sanu w jego dolnym biegu, w pobliżu Puszczy Sandomierskiej i Puszczy Solińskiej przysporzyły Ulanowowi świetności i sławy.



TADEUSZ KAWECKI, jeden z najstarszych reżymów wspomina dobre flisackie czasy. Fot. W. SOWA

Prof. dr Mieczysław Manzeli

Z TRADYCJI POLSKIEJ

Od pierwszych lat istnienia Polski Ludowej prowadzone są szerokie badania nad dziejami polskiej myśli politycznej, społecznej, filozoficznej i prawnej.

Co prawda na wielką syntezę jeszcze czekamy, a obchody milenijne są dużym bodźcem do intensyfikowania tych badań i pogłębiania analiz. Ale już w tej chwili dysponujemy wystarczającym materiałem naukowym, aby stwierdzić, że budowa ustroju ludowego w naszym kraju stanowi twórczą i konsekwentną zarazem kontynuację postępowych i patriotycznych tradycji naszego narodu, myśl socjalistyczna stanowi ciąg dalszy i rozwinięcie dotychczasowej polskiej filozofii i ideologii.

Twórcza polska myśl polityczna stanowi poważny, samodzielny wkład do skarbnicy ogólnoludzkiej, a w szczególności europejskiej. Gdy się porównuje polską myśl polityczno-prawną i społeczno-filozoficzną z innymi prądami europejskimi, nasuwają się dwójakiego rodzaju wnioski:

— myśliciele polscy nie byli zafani w stosunku do innych narodów, ogólne kierunki polskiej myśli politycznej współbrzmiały z najbardziej reprezentatywnymi i postępowymi ideami na zachodzie i wschodzie Europy, a częstokroć polscy myśliciele pewne idee formułowali albo wcześniej, albo też jasniej i wszechstronniej;

— myśliciele polscy studiując i wykorzystując obce osiągnięcia naukowe, byli zarazem myślicielami oryginalnymi, polskimi. Zwracał na to uwagę — jako pierwszy na zachodzie Europy — właśnie Karol Marks już na wstępie swej drogi życiowej:

„Polacy nie potrzebowali szukać poznania potrzeb swego kraju ani u francuskich marzycieli politycznych, którzy od lutego rozbijali się o swoje własne frazesy, ani u głębokich ideologów niemieckich, którzy nie znaleźli jeszcze sposobności do bankructwa. Polska jest sama najlepszą szkołą do poznania potrzeb Polski”. A zarazem Marks podkreśla, że Polacy „wchłonęli ogólnoeuropejskie wykształcenie”.

O SUWERENNOŚĆ, O TOLERANCJĘ

Ideologia prawdziwie polska kształtuje się w walce z uniwersalizmem papiesko-cesarskim, w walce o suwerenność narodową i państwową. Szczególny splot okoliczności spowodował, że w imię uniwersalistycznie interpretowanego chrześcijaństwa dokonywano nawróceń ogniem i mieczem w granicach Rzeczypospolitej. Nietolerancja była związana z ówczesnym uniwersalizmem, przeto idee państwowo-narodowe musiały siłą rzeczy, splatać się z koncepcjami tolerancji, poszanowania god-

ności innowierców, ich mienia i praw. Tym samym zasadnicza obrona godności i wolności człowieka oraz narodów — splata się u polskich myślicieli z obroną suwerenności i niezależności narodu.

Pierwszy, najbardziej dojrzały wyraz tych koncepcji i tendencji znajdujemy już u Pawła Włodkowica. Ow uczoney, a zarazem delegat króla polskiego na sejm w Konstancji stwierdzał m. in. „Szerzenie wiary nie jest wystarczającą przyczyną wszczynania wojny i raubunku”.

Wyrażając się terminologią oraz kategoriami współczesnymi, był to problem pokojowej koegzystencji między państwem i narodem chrześcijańskim a państwem i narodem pogańskim. Wyprzedził P. Włodkowic o przeszło sto lat Franciszka de Victorię (uważanego na Zachodzie za jednego z twórców nowoczesnego prawa międzynarodowego) jasnym stwierdzeniem, że ogólne zasady sprawiedliwości i pokoju obowiązują także wobec wszystkich (pokojowo usposobionych) innowierców i ich państw.

Słupem milowym w rozwoju polskiej i europejskiej myśli społeczno-politycznej i prawnej jest twórczość Andrzeja Frycza — Modrzewskiego.

Frycz wyzwolony jest — podobnie jak najwybitniejsi humaniści europejscy — z pęt i złudzeń religijnych. Rozpatruje wszelkie sprawy państwowo-prawne z punktu widzenia świeckiego i narodowego. Przy czym naród jest dla niego całością wszystkich stanów i warstw.

Dlatego też domaga się: tolerancji, równości, wobec prawa, odpowiedzialności urzędników, zwalczania pychy szlacheckiej. Występuje przeciwko wojnom i polityce agresji.

W sierpniu 1572 roku, w noc św. Bartłomieja, odbyła się w Paryżu słynna rzeź hugonotów. W Rzymie na wieść o tym odprawiano uroczyste nabożeństwo i odspiewano Te Deum, wybito medal pamiątkowy.

W Polsce natomiast, w pół roku potem, po śmierci Zygmunta Augusta, szlachta zebrana w Warszawie (styczeń, 1573 r.) podejmuje decyzje mające na celu uniknięcie takich wydarzeń, jakie się rozegrały nad Sekwaną. Akt prawny, zwany konfederacją warszawską, gwarantował kalwinom i luteraanom wolność sumienia i wyznania, wolność działalności religijnej i szerzenia wiary, wolność nauczania i drukowania; innowiercy nie są zagrożeni karami. Ale już w roku 1577 synod w Piotrkowie Trybunalskim rzuca kłutwę na każdego sprzymierzeńca „rzeczonożnego przymierza”. Piotr Skarga nazywa ustawę konfederacji warszawskiej występą, tyrańską i z piekła rodem, i twierdzi, że należy karać za odstąpienie od katolicyzmu.

Bywały okresy w historii Polski, iż teorie Skargi triumfowały. Lecz

Tadeusz Sokół

KUGLARZ

Stalem nad nim. Pochylony nad stołem trzymał głowę w obu dłoniach. Palce wczepił w siwe, zmierzwiłone włosy.

— Niech pan już przestanie. Żadne wspomnienia nie zastąpią panu jutra.

Nawet nie podniósł głowy. Trwał w swojej martwocie.

— Czy pan sądzi, że mnie nie ogarnia fala zwątpień. Ale podnoszę się z kolana, a pan jak dziecko.

Sładłem. W kawiarni, w kącie tuliła się do siebie zapóźniona para kochanków, może młode małżeństwo, którym miejska rada jeszcze nie przydzieliła osobnego lokum.

Było już około 24, czas zamykania lokali.

— Nie może pan tutaj zostać. Za chwilę kelnerka wyrzuci nas w ciemność. Chodźmy, odprowadzę pana do domu.

— Po co? Krystynka i tak nie przyjmie mnie z otwartymi ramionami. Ona już od dawna wie, że nic nie znaczą. Nawet dla niej.

— Chyba przesada. Pani Krystyna opiekuje się troskliwie panem. Jest w niej nadmiar niewyżytej potrzeby matkowania. Jest pan dla niej nie tylko mężem...

— Dobrze, już o tym nie mówmy. Obaj wiemy kim jest Krystynka. Wyrzuciła cię wczoraj, kiedy przyszedłeś. Wyrzuciła. Ot, masz opiekę.

— No, chodźmy już. Pozostaliśmy ostatni.

— A czy ja będę jeszcze kiedyś nie ostatni? Po co ten zafajdany los ciągnąć i ciągnąć.

— Mówi pan jak karciarz po przegranej. No chodźmy.

Chwiał się nieco. W drzwiach wionęło świeże powietrze. Zapachniało ogrodami. Kawiarenka była tuż przy rynku. Szło się przez park do domu pana Dusia. Nazywaliśmy go Dusiem, chociaż właśnie miał zupełnie inne nazwisko oraz imię, z którego nikt przytomny nie potrafiłby urobić słowa „Dus”, a jednak w mieście wszyscy znali go pod tym przezwiskiem. Jego rozwiana wiecha srebrnych włosów oczarowała nas, przyciągała tajemniczością. Jeszcze w szkole w kółku literackim, albo kiedy próbowaliśmy grać trzecią część „Dziadów” i coś nam nie wychodziło, mówiliśmy do siebie.

— Gdyby tak Dus nam reżyserował, dopiero zrobilibyśmy furorę, co?

W ogóle Dus to był ktoś. Kiedy szedł w nieco wyswiechtanym surducie przez miasto, zapatrzyony w swoje wizje, nie odpowiadając na ukłony ani nasze, ani koleżanek, ścigaliśmy wzrokiem jego miękki chód...

Kiedyś zawędrował na nasze boisko szkolne. Graliśmy z Rajgrodem w siatkę. Przysiadł na trawie. Patrzył znużonym wzrokiem na nasze niemrawe poczynania. Ogarnęła mnie złość. Nie wiedziałem, żejąc z boiska — właśnie zepełnem dziecinna, łatwą piłkę — czy grać...

Wreszcie zły już, bardziej niż zazwyczaj wyskoczyłem do jakiegoś beznadziejnej piłki, uderzyłem podcięciem, a ona powinęła się po siat-

ce, przemaszerowała przez wierzch i klapnęła na boisko przeciwników. Rozległy się oklaski. Zaczęłam grać jak w transie. Zapomniałem o kolegach, kibicu, czasie. Siódmym chyba zmysłem wyczuwałem każde ścieganie, każdy fałsz piłki. Byłem tam, gdzie przeciwnik nie spodziewał się zastać nikogo. Miętko odbierałem piłkę, a później bieg, wyskok i albo mocne uderzenie, albo delikatne przerzucenie przed zdezorientowanym przeciwnikiem. Byłem nie do pokonania. Byłem zwycięzcą.

Po meczu wysoko wygranym, podszedł do nas pan Dus.

— Wyśmienicie pan gra. Już dawno nie oglądałem takiej klasy. Pana hobby to chyba sport.

Zdobyłem się na odwagę.

— Sport też, ale przede wszystkim teatr.

— Naprawdę lubi pan teatr...

I tak się zaczęło. Skłóczyłem gimnazjum. Rozpocząłem pracę w banku rolnym, a moja znajomość z panem Dusiem nie tylko nie malała, lecz rosła z każdym dniem. Nie było dnia, ażeby nasze drogi nie skrzyżowały się to na ulicy, to w Domu Kultury, gdzie wielki Antał straszyl wszystkich dookoła swo im piskliwym wrzaskiem. Straszyl także Dusia.

Kiedyś usłyszałem ich rozmowę i zrozumiałem, że mój stary przyjaciel znajduje się w niebezpieczeństwie.

Antał siedział chyba przy swoim biurku, bo stamtąd dolatywał jego pisk. Dus rzucił się po całym pokoju.

— Pan mi nie może zabronić jeździć do świetlic. Tam na mnie czekają.

— Mogę panu zabronić. Mam prawo i nawet obowiązek. Pan deprawuje młodzież.

— I to mówi mi pan. W zimie no-

sa pan z klubu nie wyściubi. Czy pan wie co to jest zimno?

Można się zagrzać herbatą, a nie wódka.

— Niech mi pan kieliszków nie liczy. Ile mi pan płaci? Psi grosz i jeszcze cały powiat muszę obsługiwać.

— Jest pan na ryczałcie... Przez moje dobre serce, bo powinienem wyrzucić pana: paszół won pijakul! A ja trzymam.

— Pan mi grozi.

— A tak. Ostrzegam. Jeżeli jeszcze raz dojdą mnie skargi, że pan pił i próby na tym ucierpiaty — wyrzucę. Na zbity pysk. I już drugi raz nie dam się przebłagać żadnej Krystynce. Nie znoszę pijaków.

Dus umilkł, a później burczał pod nosem.

Nienawidził Antała. Była to nienawiść człowieka delikatnego i słabego. Nieszkodliwa. Poznałem już Dusia na tyle, że mogłem określić z grubsza cechy jego charakteru.

W banku po dwu latach pracy awansowałem na rachmistrza. Miałem trochę więcej czasu. Czytałem, słuchałem radia. Wreszcie poczta zainstalowała pierwszy telewizor.

Powoli, powoli zaczęło we mnie kiełkować podejrzenie, że to co robi Dus, nie jest najlepszej marki. Jego zespoły wiejskie, Fredrę i Janka Kupala grały z werwą, wykorzystując zdania, albo też rozpluwając się w patosie. Grały u siebie i u sąsiadów. Raz tylko zespół z miasteczka wystawił „Zamstę” w mieście wojewódzkim podczas przeglądu teatrów amatorskich.

Dus chodził jak oszalonej. Dekoracje leciały mu z rąk. Stawał przed swoimi aktorami i mówił im na pamięć całe kwestie. Przez dwugodzinny okres ostatniej próby sytuacyjnej przerywał wszystkim, mówił za nich. Sam odegrał wzy-

stkie postacie komedii nie wyłączając Podstołiny i Klary.

Próbowałem go uspokoić. Bez rezultatu. Wyskakiwał na scenę, reżę odgarniał już i tak przerażonego aktora, po raz pierwszy ubranego w jaki taki stroj szlachecka z XVIII wieku, zmiatał go ze sceny i sam pochylając się, podrygując, drepcąc, krygując się nieczym stara klempa, przeskakiwał z jednej strony sceny na drugą. Grał. Wreszcie grał.

Panie Dusiu! Przecież pan jeszcze bardziej ich denerwuje. Niech pan im pozwoli prowadzić próbę — wolałem zza kulis wypychając na scenę, zepchniętego ze sceny aktora.

Nie słuchał. A później przyszedł do mnie, położył mi gestem feudalnego księcia rękę na ramieniu:

— Teraz pokażę. Tu w prawdziwym teatrze, na prawdziwej scenie, pokażę jakim ja jestem reżyserem, jakim aktorem.

Zagram, jak mi Bóg miły, zagram. Czeźnika zagram, albo Papkina zagram. — Franek, ja zagram Papkina. Wreszcie pokażę co potrafie.

Pomyślałem sobie: słusznie, to nawet dobry pomysł. Ale w żaden sposób nie mógł sobie dać rady z fircykowatym Papkinem.

Im bliżej jednak było przedstawienia, tym słabszy stawał się entuzjazm pana Dusia.

Wreszcie kiedy zawołano zespół na scenę zaczął histeryzować.

— Nie, ja nie wyjdę na scenę. To już nie dla mnie. Nigdy! Szukajcie Franka! Gdzie Franek?

Patrząc na jego rozdygotane wargi i drżące jak w gorączce dłonie, zdałem sobie sprawę: to był człowiek chory.

Poszukałem Franka. Siedział zachmurzony w końcu sali. Nie chciał iść, ale złapałem za rekaw i nieomal siłą przywolekłem za kulisy.



# MYŚLI POLITYCZNEJ

nie one są charakterystyczne dla rozwoju i kształtowania narodu. Duch tolerancji i swobody sumienia związany był z dążeniami do zapewnienia wolności i wielkości Rzeczypospolitej.

## STASZIC I KOŚCIUSZKO

Myślicielem, który w końcu XVIII wieku nawiązał do podstawowych polskich tradycji myśli filozoficznej i politycznej, jest Stanisław Staszic. Był on twórczym mężem stanu, działaczem politycznym i uczone. Ucieleśniał związek teorii z praktyką. Jego traktaty polityczne są na miarę epoki Oświecenia.

Wielkość myśli politycznej Staszica polega na tym, że umie wysnuwać z konkretnej sytuacji wnioski ogólne, o walorze ogólnowiatowym.

Sama organizacja państwa, sam sposób powoływania władz (np. wolna elekcja, umożliwiająca obcą interwencję) może się stać przyczyną niesnasek w narodzie, wrogoci między władcą a poddany. Staszic trafnie uchwycił swoistą dialektykę procesów politycznych zachodzących na obu biegunach społecznych (król — społeczeństwo) w wypadku wzajemnych podejrzeń i nieufności.

Ktoś musi ustąpić, konieczne jest, aby jedna z tych „dwóch” stron zapomniała o sobie, lecz musi to być król, a nie naród, naród nie może skapitulować na rzecz króla, bo „naród jest ojczyzną, jest nieśmiertelny, król zaś doczesny, a nieznamy następca jego”.

Staszic wypowiada głęboką maksymę, stanowiącą jeden z fundamentów dialektyki i materializmu: wolność i suwerenność w stosunku do obcych państw jest rezultatem wolności i mocy wewnętrznej narodu.

Patriotyzm, przywiązanie do własnego kraju i narodu, prowadzą do nowego ujęcia kwestii narodowej, do rozważań nad wewnętrznymi siłami społeczno-politycznymi, zdolnymi do utrzymania narodu. Te siły reprezentuje nie tylko i nie tyle stan szlachecki, ale przede wszystkim mieszczaństwo i chłopstwo.

Względy patriotyczne, wzgląd na suwerenność Polski doprowadzają Staszica do postulatów reform społecznych i gospodarczych, do postulatów rozszerzenia pojęcia narodu.

Praktycznie zapominany, nie cytowany, nie wykorzystywany w celach naukowych i publicystycznych traktat Tadeusza Kościuszki pt. „Czy Polacy mogą, wybić się na niepodległość” (1800 r.) — jest wykwitem znajomości teorii i praktyki politycznej, dowodzi znajomości najprzedniejszych dzieł filozofii europejskiej i jest majstersztykiem analizy konkretnej sytuacji Polski na tle doświadczeń europejskich. Jest to dzieło na wskroś polskie, a zarazem posiada walory najbardziej uniwersalistyczne, na wskroś ogólnoludzkie.

Z punktu widzenia filozoficznego — jest to dzieło dialektyki politycznej, bezlitosnej analizy sprzeczności wewnętrznych i zewnętrznych.

Dlaczego Polska upadła? Na to fundamentalne pytanie odpowiada Kościuszko, że z powodu słabości wewnętrznej. Nie ogranicza się jednak do pomstowania na liberum veto i wolną elekcję, lecz idzie znacznie dalej i głębiej, sięga do podstawowych kwestii społecznych, ekonomicznych i wreszcie związanych z charakterem narodu na tym etapie rozwoju historycznego.

Kościuszko nie akceptuje myśli, jakoby o rozbiorach zdecydowały tylko obiektywne, zewnętrzne przyczyny.

Polacy — jeśli naprawdę chcą niepodległości — muszą ufać we własne siły i wyzbyć się złudzeń jakoby jakikolwiek dwór — berliński, Petersburski, wiedeński czy paryski — dopomógł w uzyskaniu wolności, wielkości i dobrobytu.

Kościuszko jest na tyle realistycznym mężem stanu i myślicielem, że zdaje sobie sprawę z tego, że urzeczywistnić „dzieła wielkie i twórcze” mogą jedynie inne warstwy narodu, nie te, które dotychczas naród ucieleśniały i reprezentowały.

Być może, że po raz pierwszy w historii Polski i w historii politycznej mał stanu tak jasno stwierdził, że niższe warstwy, tzn. „mierni i ubodzy” są patriotyczni i niezdemoralizowani „szacherstwami politycznymi” i przeto na nich można się oprzeć w walce o zdobycie i utrzymanie niepodległości.

## HISTORIA UCZY

Wszystkie wielkie dzieła filozoficzno-polityczne poczęły się w Polsce przedrozbiorowej z wolności politycznej, w związku z tą wolnością i w jej obronie. Nie mogło też być inaczej. Reformatorzy i postępowcy XVIII wieku, domagający się różnych reform społecznych i politycznych, włącznie z umocnieniem władzy królewskiej, nie chcieli likwidować „wolności i praw przyrodzonych”, lecz chcieli je urealnić na użytek Rzeczypospolitej i całego narodu.

Gdy wolność szlachecka przekształcała się ostatecznie w samowolę magnacko-szlachecką, gdy rzekoma wolność opierała się na coraz brutalniejszej niewoli chłopów i mieszczanina, wówczas owa wolność mniemana przestała być busolą polityki państwowej i narodowej. Nie tradycje wolnościowe zgubiły Polskę, lecz wolność dla warcholów i wyższych klas, połączona z niewolą i uciskiem chłopów i mieszczanina.

Oto konkluzje z historii Polski i polskiej myśli politycznej: należy współżyć ze wszystkimi narodami pokojowo, umacniać Polskę wewnętrzną — przez co też będzie potężna na zewnątrz, zagwarantować wolność, sprawiedliwość, praworządność wszystkim obywatelom. Pamiętać, jak pisał Staszic, że Naród i Ojczyzna są nieśmiertelni.

Maria Cecylia Guziółek

# „OPOLE 66” JESZCZE RAZ

● Niedyskrecje (?) ● Odpryski ● Chochliki a kysz! ● Anonimowe „Nastolatki”



Fot. KAZIMIERZ SĘDZIKOWSKI

## KALINA JĘDRUSIK WŚRÓD NASTOLATKÓW

IV Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki w Opolu wywołał potężną burzę. Szaleje ona i w „krami-ka z piosenkami”, a jeszcze bardziej wokół niego. Wszyscy mają wszystkim wszystko za złe — a zabawne — najwięcej ci, którzy w Opolu nie byli! Podobnie ma się z rzeszowsko - przemyskimi „Nastolatkami”, które nie miały odwagi (?) podpisać swego listu do mnie pełnym imieniem i nazwiskiem. A może uważają, że „ujawnienie się” nie należy do dobrego tonu, jest nieskromne! Przyjmuję właśnie takie założenie i dlatego nie wysyłam zgodnie z dziennikarskim zwyczajem listu „Nastolat-ków” wprost do kosza.

Moł drodzy — umówmy się na przyszłość — dyskutujemy z otwartą przybitką. Mogę tylko cenić i cenię ludzi odważnych, posiadających własny sąd „na sprawy świata tego” i starają się być obiektywnymi obserwatorami, mają poczucie humoru i patrzą pobłaźliwie nawet na najdziwniejsze upodobania bliźnich.

Po wyjaśnieniu spraw podstawowych — dziękuję za uznanie dla mojej pracy popularyzatorskiej i recenzji muzycznych. Wierzę, że będziemy jeszcze nieraz spotykali się na łamach „Nowin” i „Widokręgu”.

Piszcie! „Opole miało być świętem młodości...”

Moł Kochani, a kto to twierdził i kiedy? Opole jest świętem polskiej piosenki i piosenki dla wszystkich! Sąd różne koncerty; i koncerty mocnego uderzenia, i liryczne, i aktorskiej piosenki...!

Świętem młodości ma być Festiwal Muzyki Nastolatów, który po raz pierwszy odbywa się właśnie teraz w dniach 16 i 17 bm. w Gdańsku. Czy będzie tym świętem? A no, zobaczymy!

W Opolu ocenia się piosenki, a nie wykonawców. Wyrwanie części zdania, prowadzi do niedomówień. Dalsza część cytowanego przez Was zdania brzmi: „bezsprzecznie do-brzy i ciekawie interpretatorzy uia-  
twiają piosenką zdobycie serc słuchaczy”.

Kalina Jędrusik! Wielkiego aktorstwa nie można jej odmówić nawet jej nie lubiąc, ona i jej sztuka to dwie różne sprawy. Popatrzcie na zdjęcie. Są tysiące nastolatów, uwielbiających ją i jej sztukę, jak i ja (wybitnie nie-nastolatki!).

Lucja Prus? „Niezrównana w piosence liryczno-poetyckiej Lucja Prus” (Zwierciadło). „Joanna Rawik, druga obok Lucji Prus, znakomita interpretatorka tekstów poetyckich...” (Tygodnik Kulturalny). Zresztą poczytajcie sobie tygodniki i prasę społeczno-kulturalną. Superlatywów na temat Lucji znajdziecie wbród.

Chcecie więcej ciekawostek festiwalowych? Proszę bardzo!

Wystąpienie irrealnego konferansjera potępią większość sprawozdawców. A jak wyglądało „usprawiedliwienie” pana Lucjana

**CIĄG DALSZY NA STR. 6**

Cały pierwszy akt przeszedł w ukrywaniu właściwie twarz w dłoniach. Palił mnie wstyd. Duś grzmiał zza kulis tekst tak głośno, że wybiegał na salę i uderzał w słuchaczy. Przeszkadzał.

Śmiechy na sali kwitowały pomyłki Dusia, bo podpowiadając myśli się. Wolał wtedy: — „nie, nie, Jeszcze raz”. A stremowani aktorzy powtarzali pomyłki, to straszne: „nie, nie, jeszcze raz”. Sala kładła się ze śmiechu. Śmiano się z nieporadności aktorów, głupoty sufiera.

Po pierwszym akcie przewodniczący sądu, stary aktor teatru, w którym odbywał się przegląd, przybiegł za kulisy. Starego aktora zobaczył Duś. Twarz jego rozplamiła się, wielki uśmiech. Przygotował się na pochwałę, na triumf.

Aktor nie podszedł jednak do Dusia, nie uścił jego wyciągniętej dłoni. Stał na stopniach sceny i ryknął.

— Co to za idiota podrzuca wam tekst. Wyrzucicie go na pysk, kompromituje...  
Twarz Dusia zastępną w uśmiechu. Nagle zrozumiał. Krzyki, te śmiechy na widowni nie były pochwałą, były drwiną...

Powoli zszedł ze sceny. Minął starego aktora.

Cały zespół sterroryzowany dotychczasową postawą Dusia zaczął nagle gadać. Stary aktor popatrzył i ze zrozumieniem pokręcił głową.

— Dacie sobie radę sami?

Nastąpiła chwila milczenia, w której jakoś śmiesznie, nieporadnie zabrzmieli pojedynczo:

— Chyba tak. Damy sobie. Czemu nie.

Drugi akt „Zemsty” rozpoczął się w atmosferze narastającego niepokoju w zespole. Duś zniknął. Rozplątał się wśród festiwalowej publiczności.

— Ja nie wyjdę na scenę. Ja się rozłożę. To będzie zupełna kłapa — jęczała Podstolina. Cześć składając ręce jak do modlitwy mrużąc pod nosem ni to pacierze, ni to płynny fredrowski wiersz.

Zabrzniął gong. Rozsunęła się kurtyna. Na widowni szmer wybuchnął krótkimi, urwanyymi chichotami. Ale po chwili publiczność uspokoiła się.

Działo się coś dziwnego. Po kilkunastu kwestiach deklamowanych raczej niż mówionych, wiersz nabrał pewnej gładkości. Aktorzy zaczęli się poruszać żywawiej, naturalniej. W pewnych momentach oklaski widowni dały znać, że doszła do niej treść sztuki, że przez nieporadność grających przedarł się znakomity tekst „Zemsty”.

Duś nie wracał. Może w tej chwili szedł alejami parku, nie zwracając uwagi na niespotykane gdzie indziej tuje i olbrzymie klony. Nie myślał. Był jak człowiek wyprany z myśli. Szedł machinalnie, ruszał nogami, przesuwając się z miejsca na miejsce pchany prawdziwą potrzebą ucieczki z miejsca, gdzie dokonał się ostateczny rozrachunek z jego marzeniami.

Ledwo przebrzmiały ostatnie oklaski zamykające sztukę, egzemplarz wypadł mi z ręki. Czulem suchotę w gardle, poza tym dręczył mnie niepokój. Kazałem zespołowi przebrać się, umyć. Stroje poskładać do koszy i czekać. Sam wybiegłem w miasto.

Znalazłem Dusia w jakiejś obskurnej knajpie przy Rynku Siennym. Poznał mnie. Właściwie to tylko mnie się wydawało, że skądś spoza krzeczastych brwi rozjaśniły się oczy przyjaciela. Stały przy nim dwie półlitrowe butelki. Jedna była całkiem pusta, z drugiej zaważało się szybko przelewała się do gardła Dusia. Zawolałem kelnera.

— Tusty boczek i szklankę.

Odebrałem Dusiovi butelkę.  
— Zaczekamy. Zaraz będzie coś do jedzenia. Nie mam zamiaru wieść pana pijanego przez całe województwo. Zresztą zespół czeka.

Kelner przyniósł szklankę. Nalałem sobie. Chciałem wypić, aby wreszcie wykrztusić z siebie swój żal do Dusia za to, że mnie oszukał, że nie był artystą, a tylko blagierem, kuglarzem małościastkowym. Niczym.

Wypiliśmy. Duś chwycił za boczek. Znowu wypiliśmy. Butelka szybko osuszała się. Chciałem zamówić jeszcze z ćwiartką. Byłem zły. Swoją złość chciałem utopić w wodce. Bałem się jednak, że Duś nie wytrzyma i zwali mi się do nóg.

— Czemu pan uciekł. To było najgorsze co mógł pan zrobić.

Na twarzy Dusia pojawiała się porażka strach. Strach wykrzywił twarz, rozszerzał oczy. Wreszcie Duś chwycił mnie pijacko, nachalnie za kłapy marynarki.

— Co się stało, mów. Nie grali?

— Grali.

Strach powoli znikł z twarzy Dusia.

Miałem ochotę zakląć i to brutalnie. Nie dosyć mi było moich własnych kłopotów, musiałem sobie przyhołubić na domiar nieszczęścia Dusia z jego nieprzebranym kosztem zgrzyot, kompleksów, zachcianek i obaw.

— Przeszłoby pan wreszcie znęcać się nad szklanką. Słyszysz?

— Słyszę. Siadaj. Albo jesteś przyjaciel, albo gówniarz. Jak gówniarz to won. Masz coś przeciwko mnie? Za swoje piję. No, gadaj. Grali, to dobrze. Chociaż i to ech, naplewał.

Jeszcze ci nie opowiedziałem o Krystynie. Do końca nie opowiedziałem. I właśnie chcę opowiedzieć. Siadaj.

— Opowiesz mi po drodze. Myślisz, że mi rewelacje wyśpiewasz. Ja

też mam swoją Krystynkę. Każdy ma swoją Krystynkę — bełkotalem. Umysł działał sprawnie, tylko język nieposłusznie pętał się między zębami i jak samoistna żywa istota wybiegał na brodzie raz po raz zlizując suchotę warg.

— Chodź do autobusu. Nie chcę słuchać twoich pochlipowań. Mówiłeś, zapewniałeś, że tym razem to już na pewno będzie arcydzieło. Teraz płaczesz.

— Zamknij buzię. No, zamknij. Naucz się trochę przyzwoitości, jak nie rozumiesz... ani co tu — gestem starego amanta — wskazał na pierś — ani co tam — jego oczy wybiegły poza mnie, poza mury knajpy i chyba zobaczyły wszystkie te przeciwności, o których opowiadał, którymi się zadreślał. Twarz mu zszarzała, zacięła się we wściekłości.

— Ja im jeszcze pokażę. Zapamiętaj mistrza... — Pij, bo rozwałę tę butelkę o twój parszywy łeb.

Wyrwałem mu z rąk pustą półlitrowkę. Szarpnąłem za rękę.

— Znowu zaczynasz. Pomożesz sobie, co? Pomożesz? Jutro Anta! weźmie cię do siebie i co mu powiesz.

— Mam wiesz gdzie Antala? On się gówno zna na sztuce. Na wazelinie się zna. Chamidło...

— Lepsi on sztukmistrz od ciebie. — Drażnięm Dusia z nieukrywaną premedytacją.

— Ty wiesz kto jest Anta! To aktor wielkiej sceny. Jemu dają pieniądze, realizują jego plany budowy domów wypoczynkowych, osiedli campingowych, bo on jest prawdziwym, a nie udanym aktorem.

Duś patrzył na mnie zamglonymi oczami, nie zmieniając ponurej maski twarzy. Patrzył. Minęła trzecia sekunda, czwarta, a on nie odzywał się. Zaczęło mnie to niepokoić, wreszcie złościć.

— No powiedz coś. I chodźmy stąd. Chwyciłem za ramię Dusia. Był miękki jak szmata. Kładł się na moim ramieniu. Wyprowadziłem go między budki.

Dopiero nazajutrz wróciliśmy do miasteczka. Sami. Po drodze w pociągu Duś wyzalał mi się ze wszystkich swoich tęsknot i klęsk. Wszystko, całe swoje życie przedstawiał teraz w czarnych barwach zagubionych możliwości, zagubionego talentu.

Wreszcie około południa dotarliśmy do naszego miasteczka.

Szliśmy półkolistą ulicą w stronę starych kamieniczek. Duś z pochyloną głową, ja jeszcze ciągle pijany.

— Dzień dobry panu. Gratuluję. To wielki sukces. Podwójny. Zawsze mówiłem, że pan jest znakomitym reżyserem.

Duś podniósł głowę. Słuchałem nie rozumiejąc.

— Wszystkiego najlepszego. Raz jeszcze najlepsze gratulacje.

Zona kierownika apteki znana Dusiovi przelotnie przeszła obok nas zalotnie się uśmiechając.

— Idiotka. Znalazła sobie czas do drwin — syknął Duś.

— Dusiu serwas, jak się masz. No, wiesz, nie spodziewałem się. A to się twoja Krystynka ucieszy. Gratuluję podwójnego sukcesu.

Kierownik Wydziału Handlu był wyraźnie przyjacielski, jak nigdy.

— No co, panowie, może wstąpićmy na jednego.

Wymówiliśmy się. Kiedy odeszliśmy kilka kroków stanęliśmy naprzeciw. Nasze oczy zetknęły się. Zrozumiał.

Tam się coś stało. Chyba jakieś nagrody. Co oni powiedzieli. Podwójny sukces. No to Dusiu serdeczne gratulacje. A wiesz, ta „Zemsta” zupełnie nieźle poszła.



## Na naszym ekranie

## Marita Böhme

W interesującym filmie produkcji NRD „Zona Lota” wchodzącym wkrótce na nasze ekrany rolę tytułową gra Marita Böhme. Aktorka ta nie tylko dobrze oddaje nakreślony przez scenarzystę rysunek psychologiczny kobiety chcącej uwolnić się z fikcyjnego w istocie małżeństwa, ale także świetnie daje sobie radę z zajęciami, jakie przypisał autor bohaterce filmu. Marita okazuje się nie tylko czułą matką, ale także autentyczną nauczycielką wychowania fizycznego, gimnastyką wykonującą skomplikowane ewolucje bez pomocy filmowych tricków i dublerki.



aktorskie, które ukończyła w roku 1961. Jeszcze podczas studiów zaproponowano jej rolę Adriany w szekspirowskiej „Komedii pomyłek” w berlińskim Teatrze Ludowym, a po uzyskaniu dyplomu została zaangażowana do Teatru Małego, gdzie grała między innymi Nastię w „Na dnie” Gorkiego, Reginę w „Upiorach” Ibsena, Leontynę w „Furze bobrowym” Hauptmanna. Teatr ten często wyjeżdża w teren, gdzie Marita grając przed najbardziej różnorodną publicznością doskonali swój kunszt aktorski.

Nie przerywając występów na scenie aktorka rozpoczyna karierę filmową. Jej debiut przed kamerą miał miejsce w roku 1961, a pierwszym filmem był „Auf der Sonnenseite” Ralfa Kirstena. Praca nad główną rolą w tym obrazie dała Maricie dużo satysfakcji, toteż z radością przyjęła propozycję tego samego reżysera objęcia roli Reginy w — wyświetlanym także u nas — filmie „Spotkali się latem”.

I tak się zaczęło. Po filmie „Der Kinnhaken” oraz „Minna von Barnhelm”, w którym zagrała rolę tytułową, Marita Böhme stała się jedną z najbardziej popularnych aktorek filmowych w NRD i coraz częściej pojawia się na ekranie zarówno w kinie, jak i telewizji. My zobaczymy ją w tym miesiącu we wspomnianym filmie: „Zona Lota”, o którym sama mówi tak:

„Poruszona tu została zasadnicza sprawa współżycia, sprawa uczciwości. Tam, gdzie nie pozostało już nic poza usankcjonowanymi przez prawo stosunkami, gdzie podjęte niegdyś dobrowolnie zobowiązania stają się ponizającym przyzwyczajeniem, oburzenie jednego z partnerów staje się zrozumiałe. Katrin uznaje za dobry każdy środek prowadzący do rozwiązania fikcyjnego małżeństwa, jakim jest małżeństwo Lotów. Ryzykuje ona nawet utratę sympatii swego otoczenia, aby uchronić czystość uczuć. Takie zachowanie przy całej jego dyskusyjności — jest według mnie jedynie słuszne. Cały film jest przyczynkiem do dyskusji. Życzyłabym sobie, aby uświadomił on chociaż części ludzi żonatych, ich odpowiedzialność i dopomógł w rozwiązaniu z całą konsekwencją wielu fikcyjnych małżeństw, które więcej szkodzą społeczeństwu niż przynoszą korzyści”.

Tajemnica tego tkwi w dzieciństwie aktorki, która jeszcze jako uczennica liceum wychowawczyń przedszkoli, lubiła zajęcia gimnastyczne i zdobyła nawet mistrzostwo okręgu w gimnastyce na przyrządach.

Marita Böhme urodziła się w 1939 roku jako córka dresenńskiego malarza. Uczęszczała do szkoły podstawowej uczyła się jednocześnie malarstwa i gry na fortepianie. Wykłady na szkolnej scenie zbudziły marzenia o aktorstwie, ale ojciec chciał, żeby została wychowawczynią w przedszkolu.

Dziewczyna jednak postawiła w końcu na swoim. Wstąpiła na studia



STANISŁAW KOCHANEK — artysta malarz  
RYS. J. SIENKIEWICZ



MAGDA SZABO: Płatek. Przeł. Olga Wybranowska. W-wa 1966, PIW, s. 319, cena zł. 16.

Nowa psychologiczna powieść znanego węgierskiego pisarza, tłumaczonej na wiele języków świata. W omawianej powieści na przykładzie historii matki i córki autorka rozwija odwieczny problem starości i konfliktu pokoleń. Robi to w sposób interesujący i dyskusyjny.

JÓZEF OZGA MICHAŁSKI: Wieczory na Lysej Górze. Lublin 1966, Wyd. Lubelskie, s. 308, cena zł. 18.  
Znany literat i publicysta zamieszcza w tym tomiku ponad 20 opowiadań, drukowanych już niegdyś w czasopiśmie. Różnorodność ich tematyki wskazuje na szeroką skalę zainteresowań autora, który zajmuje się współczesnymi problemami moralnymi, światopoglądowymi i społecznymi. Dużo świetnego humoru i oryginalności w spojrzeniu na świat.

REMIGIUSZ NAPIÓRKOWSKI: Studnia. W-wa 1966, KIW, s. 206, cena zł. 15.  
Zbiór 15 literackich reportaży, które są plonem wędrowek autora i jego spotkań z ludźmi ciekawymi, nietypowymi. Opowiadają o tych ludziach swawolnie ciekawy wyznacznik obrazu naszej współczesności.

ADOLF RUDNICKI: 50 opowiadań. W-wa 1966, PIW, s. 356, cena zł. 30.  
Zbiór opowiadań, szkiców, fragmentów prozy znakomitego, współczesnego pisarza. Wiele z nich jest przedrukami wcześniejszych wydań.

HENRYK PANAS: Chłopiec z karabinem. W-wa 1966, MON, s. 266, cena zł. 15.  
Bohaterem książki, żyjącego w Olsztynie prozaka, jest młody chłopiec, który bierze udział w walkach toczonej przez

partyzantów z Niemcami na Lubelszczyźnie w ostatnich miesiącach przed wyzwoleniem tej części Polski. Dla młodzieży.

ROMAN MORACZEWSKI: Potrzeby nawozowe łak i pastwisk. W-wa 1966, Państw. Wyd. Roln.-Leśne, s. 76, cena zł. 6.

Broszurka, z której czytelnicy zainformują się z najnowszych osiągnięć nauki i praktyki w zakresie racjonalnego nawożenia łak i pastwisk, opartej na badaniach potrzeb nawozowych gleb.

WOJCIECH ŻUKROWSKI: Piórkciem flaminga, czyli opowiadania przewroine. Wyd. IV. W-wa 1966, PIW, s. 230, cena zł. 15.

10 opowiadań współczesnego polskiego prozaka, których akcja rozgrywa się w różnych krajach Europy, i w różnych epokach historycznych. Ciekawa fabuła i charakterystyka postaci.

STEFAN BREYER: Przeniesienie własności nieruchomości. W-wa 1966, Wyd. Prawnicze, s. 264, cena zł. 30.

Książka przeznaczona dla prawników — praktyków omawia problematykę przeniesienia własności nieruchomości w ramach nowego kodeksu cywilnego z dnia 23 IV 1964 r. oraz przepisów wprowadzających kodeks z tejże daty. Omawia polecie nieruchomości, ogólne zasady obrotu nieruchomościami, uwzględnia obrót nieruchomościami rolnymi.

KAZIMIERZ BRANDYS: Dżoker W-wa 1966, PIW, s. 246, cena zł. 15.  
Znakomity prozak zaopatrzył swa książkę podtytułem: „Wspomnienia z teraźniejszości”. Opisuje swoje podróże po świecie, nawracając stale do przeszłości. Pisze o drugiej wojnie światowej, o obozach, o współczesnej Jugosławii, Francji.

CZEŚLAW GOLISZEWSKI: Ryżowe pola w ogniu. W-wa 1966, MON, s. 163, cena zł. 8.

Autor przebywał w Wietnamie jako wysłannik „Zołnierza Wolności”. Książka jest reporterskim plonem tej podróży. W sposób bardzo interesujący przekazuje na tle historycznym obecną sytuację wojenną w DRW. Liczne ilustracje.

## KULTURA NA ŚWIECIE

## POEZJA FRANCUSKA SZUKA CZYTELNIKA

Jak wynika z danych statystycznych, Francja znajduje się na szarym końcu pod względem liczby książek wypożyczanych w bibliotekach publicznych. W Stanach Zjednoczonych na jednego mieszkańca przypadają rocznie 4 wypożyczenia, w Wielkiej Brytanii — 8, w Szwecji — 6. We Francji brak jeszcze dokładnych danych, wiadomo jednak, że w Tuluzie liczba wypożyczeń na jednego mieszkańca wynosi rocznie — 1, w Limoges — 2, w Montpellier — 0,25. Najmniej „chodliwa” jest poezja. Stąd zainteresowanie, jakie okazuje prasa francuska nowej inicjatywie wydawnictwa Gallimard.

Wydarzeniem dużej miary w dziedzinie wydawniczej — pisze tygodnik „Arts et Loisirs” — stała się publikacja nowej serii książek kieszonkowych „Poesie Gallimard”. Edycja ta ma na celu udostępnienie szerokim kręgom czytelników wybitnych dzieł poetyckich, zarówno autorów francuskich, jak i obcych. Chodzi głównie o poetów współczesnych. Trzeba bowiem wyznać z całą szczerością — podkreśla autor artykułu Alain Bosquet — że Francuz nie czyta poezji. Szerzący tomików poetyckich należy do wyjątków. Od 1900 r. w dziedzinie poezji były tylko dwa bestsellery: tom wierszy pt. „Ja i ty” Paula Gheraldy'ego oraz „Słowa” Jacquesa Gerveta.

W najnowszej serii „Poesie Gallimard” ukazały się tomiki, zawierające wiersze Mallarmego, Eluarda, Lorki, Claudela, Apollinaire'a. Wkrótce ukaza się wiersze Aragona, Michaux i innych poetów współczesnych. Liczba nabywców tych tomików waha się obecnie od 3 tys. do 10 tys. Zadanie, które sobie stawia wydawnictwo Gal-

limard, jest niezwykle trudne. Pragnie ono bowiem dotrzeć z tą serią do setek tysięcy czytelników. Poezja wciąż jeszcze traktowana jest jak uboga krewna. Niewiele miejsca poświęca jej prasa, rzadko wspomina o niej radio.

## NOWY OŚRODEK KULTURY SUMERYJSKIEJ

Grupa włoskich archeologów odnalazła w Syrii ślady nieznanego historycznym antycznego miasta, wzniesionego — jak wszystko na to wskazuje — przez Sumerów.

Poszukiwania prowadził zespół archeologów z uniwersytetu rzymskiego, specjalizujący się w historii i kulturze Syrii.

Jak doszło do odkrycia? Uwagę naukowców zwróciło wzgórze położone na południe od Aleppo, obok drogi prowadzącej do Damaszku. Wzgórze, zwane Tel Mardikhe, ma ślady wierzchołek. Jest to charakterystyczne dla nawastrzeń ziemi na starożytnych budowlach. Chłopi, pracujący w okolicznych gajach oliwkowych, niejednokrotnie odnajdywali w ziemi antyczne przedmioty.

Podczas prac wykopaliskowych, prowadzonych w kilku punktach wzgórza, archeologowie odkryli mury i znaczną liczbę przedmiotów starożytnej sztuki. Odnaleziono fragmenty murów obronnych, z olbrzymimi wieżami wysokości ponad 20 m. Mur wybudowano z bloków kamiennych i niewypalanej cegły. Umocnienia te świadczą, że było to jedno z najpotężniejszych miast warownych starożytnego Wschodu.

Dotychczas odkryto dwie świątynie. W jednej z nich zachowało się wiele przedmiotów kultu religijnego, wy-

konanych z bazyli i wapnia. Wśród odkrytych dzieł sztuki zwraca uwagę wykuty w bazalcie wspaniały, naturalnej wielkości posąg siedzącego władcy.

Posąg ten ma wyjątkowe znaczenie dla historyków sztuki, zarówno ze względu na materiał, z którego został wykonany, jak też na swe wymiary oraz formę. Jest niemal identyczny z rzeźbami Sumerów, twórców najstarszej ze znanych cywilizacji ludzkich, rozwijającej się przed 5—4 tys. lat. Nigdy jednak dotychczas nie odnaleziono śladów tej cywilizacji tak daleko od jej centrum, które stanowiła Mezopotamia.

Drugim ważnym odkryciem, również niewątpliwie sumeryjskim, jest basen, na który składają się dwa zbiorniki na wodę, zdobione płasko-rzeźbami. Jedna z nich ukazuje scenę uczy — w górnej części znajdują się postacie króla i królowej w otoczeniu sług, w dolnej — grupa zwierząt. Na innej ścianie artysta wyrył fantastycznego smoka, operującego się łapani na dwóch łwach.

Miasto osiągnęło swe apogeum około 2 tys. lat p.n.e. Potem zostało zburzone lub opuszczone, aby po wiekach — w okresie perskim i hellenistycznym — znów dzwignąć się z upadku. Z tego okresu pozostały ruiny domostw oraz liczne dzieła sztuki, wśród nich posągi z terakoty, przedstawiające człowieka na koniu i boginię Astarte.

## NIEBIESKOOCY RYWALE INKÓW

W odległych obszarach północnej części Peru odnaleziono ostatnio ruiny trzech miast, które, jak się przypuszcza, zbudowane zostały przez legendarne plemiona Czaczapojas. Naukowcy

wysuwają przypuszczenie, że odkrycie to pozwoli poznać dzieje tego zagadkowego plemienia. Jego członkowie mieli białą skórę i niebieskie oczy, prowadzili wojny z Inkami i zniknęli po zdobyciu przez Hiszpanów terytorium dzisiejszego Peru.

Ruiny miast wzniesionych przez to tajemnicze plemię odnaleziono zostały w samym środku Andów przez uczestników wyprawy pod kierownictwem peruwiańskiego uczonego Carlosa Silvy.

Największe z miast, nazwane przez uczonych „Hoya” („Perla”) otoczone jest kamiennym murem z bardzo wysokimi wieżami. Silva przypuszcza, że znajdowało się w nim od 50 do 100 budowl. Dziś trudno jeszcze określić dokładną ich liczbę, ponieważ cały teren okrywa gęsta podzwrotnikowa roślinność. Wszystkie budowle, podobnie jak okragłe wieże, mają wysokość 3 pięter. W środku miasta wznosi się wielki gmach — twierdza lub świątynia.

Drugie miasto, Atuen, położone jest w pobliżu niewielkiego jeziora, w którym archeolodzy odkryli resztki urządzeń wodociagowych. Kiedy poziom wody w jeziorze spada, na powierzchni widać zarys czegoś, co według miejscowej legendy było ongiś lektyką króla. Wrzucono ją do wody, aby nie wpadła w ręce hiszpańskich zdobywców.

W budowlach trzeciego miasta Cochamba widać wyraźny wpływ architektury Inków, szczególnie w wielkich portykach, które zachowały się w dobrym stanie. Ciekawe, że wiele budynków w Cochamba nie ukończono. Obok domów znaleziono materiały budowlane. Nasuwa to myśl o pośpiesznej ucieczce mieszkańców z miasta do dżungli.

(Kł — PAP)

## WIDNOKRĄG ODPOWIADA

M. K. K. — Stalowa Wola: Wiersze dość interesujące — umie Pan budować nastroj liryczny i sugestywny obraz. Mimo to ciąży na tych utworach piękno niedopracowania i braku precyzji. Niektóre frazy dobrze świadczą o wyobraźni autora, np.: „przechodziłaś przez brame snu...” do „ptak niebieskoooki uwilgniażo w Twych włosach”... inne są trochę banalne. Trzeba unikać powtarzania samego siebie w wierszach. W dwu utworach na trzy pojawia się „myśl gnana szeptem wiatru”. Warto kontynuować próby twórczości lirycznej.

J. S.: Niestety, wiersz „Narodził się” nie nadaje się do druku. Jest w nim zaledwie pomysł na żart liryczny, ale brak znamion wiersza — metaforyki, skrótu myślowego, w ogóle cech języka poetyckiego.

A. M. Iwonicz: Wiersz „Niedola starca” mówi o dość często, niestety, zdarzających się zjawiskach i jako protest przeciwko nim jest słuszny. Ale równocześnie brak utworowi wartości literackich. Może lepiej byłoby na ten temat napisać zwykły list do redakcji prozą?

H. R. Przemyski: „Artyzm”, zawiąra nieudolnie i naiwnie rytmowaną filozofijkę, z którą trudno się zgodzić. Z jakimkolwiek artystem wiersz nic wspólnego nie ma.

G. G. Rudnik nad Sanem: Pisze Pani w wierszu „Młodość” — „Młodość wszystko potrafi!”... itd. Nie zawsze jednak potrafi pisać wiersze. Nie widzimy dla Pani żadnych szans w tej dziedzinie twórczości.

## „OPOLE 66” JESZCZE RAZ

(Ciąg dalszy ze str. 5)

na koncercie w dniu następnym (nie wiem czy transmitowanym przez Radio i TV — chyba nie)?

„Niektórzy zarzucają mi — powiedział — że jestem nietaktowny! Tak, jestem nim, kiedy trzeba”.

Swoista dyplomacja! Rozumie my! „Służba nie drużba”... Przed festiwalem wiele mówili się o dekoracji sceny. Była potworna. Jak można ogromną, przestronną scenę — estradę tak zabudować? Aż robiło się duszno, patrząc na słoczonych muzyków. Zabrakło na estradzie nawet miejsca na kwiaty, które zawsze towarzyszyły opolskiej piosence. Była to najbrzydza inscenizacja festiwalu. Natomiast plakat, mało spopularyzowany w kraju, był przepiękny! Na pięciolini pąsowa róża!

Atmosferę festiwalu tworzą imprezy towarzyszące. W czasie recitalu ulubieńca Opola Tadeusza Chyły zasypano — dostojnie — całe podium monetami. Piosenkarz pięknie podziękował za chęć realizacji „Złotej karety” (to tytuł piosenki, która wywołała grad drobniaków) i zebrał co grubszą forszę. Następnie poprosił o 10 minut przerwy, twierdząc, że „wstydy się wybierać wszystko co do grosza”. Największy gest okazał Maciej Zembaty (ten, który śpiewa „Wampira w miasteczku”). Z najbardziej ponurą miną świata wręczył Chyle zielony banknot! Słowa uznania należą się naszym piosenkarzom za przepiękne toalety i chyba dla kontrastu Irene Dziedzic — zmieniła tylko... biżuterię do swej — notabene — pięknej sukni. Szkoda, że tej ferii barw toalet nie mogła przekazać telewizja. Na X Festiwalu na pewno barwny obraz będzie już popularny w kraju.

Często się zastanawiałam, dlaczego teksty „muzyczne” szczególnie upodobał sobie chochlik drukarski, buszując w nich niemiłosiernie, czasem dowcipnie, ale czasem nieodpowiedzialnie. Chyba każdy z czytelników domyślił się, iż w zakończeniu mej relacji z „Opola-66” przewodniczący Prez MRN zapraszał na przyszły, a nie miniony Festiwal Piosenki, który na pewno zwycięsko wyjdzie z obecnych oparów.

Teraz już wiem! Chochlik głuchy przebywając stale w jazgocie maszyn drukarskich. Dobrze mu tak! Niech nareszcie z zakamarków drukarni wyjdzie na słońce, dla swego dobra i gazet.

MARIA CECYLIA GUZIOŁEK